

ONE

KIM NINA
OCKER

OF

Zdrada

SIX



PRZEŁOŻYŁA JOANNA KRYSZYNA RADOSZ

ONE

KIM NINA
OCKER

OF

Zdrada

SIX

PRZEŁOŻYŁA JOANNA KRYSZYNA RADOSZ



TYTUŁ ORYGINAŁU:

One of Six – Verrat

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska
Wydawczynie: Maria Mazurowska, Agata Ługowska
Redakcja: Justyna Yigitler
Korekta: Katarzyna Kusoń
Projekt okładki: © SO YEAH DESIGN
Opracowanie graficzne okładki: Wojciech Bryda
Zdjęcie na okładce: © masalskaya; © tofutyklein;
© Lemonsoup14 / Shutterstock.com
DTP: pagegraph.pl

One of Six – Verrat

Copyright © 2023 by Bastei Lübbe AG, Köln

Copyright © 2025 for the Polish edition by Papierowe Serca
an imprint of Wydawnictwo Kobiecte Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Joanna Krystyna Radosz, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2025
ISBN 978-83-8371-668-8

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl



PROLOG



Mój palec drży ledwie zauważalnie, gdy klikam „Wyślij”. Na ekranie pojawia się niewielki pasek ładowania, a obok coś na kształt odliczania obwieszczającego: wysłano 1 z 5, wysłano 2 z 5... oszaleć można. Życie przyzwyczało mnie do szybszego internetu, a fortele z różnymi VPN-ami to wyzwanie dla mojej cierpliwości. Wciąż trwa wysyłanie, kiedy otwieram skrzynkę i czytam na nowo treść wiadomości. Wyszedł mi pieprzony majstersztyk. Nic dziwnego, skoro od siedmiu tygodni poświęcam jej moje nieszczęsne życie. Każde słowo z osobna to czysta poezja, każda sylaba brzmi jak zwrotka wiersza, a każda litera wygląda jak dzieło sztuki, takie, którego miliard pociągnięć pędzla odkrywa przed widzem sekrety duszy artysty. Ta wiadomość to melodia: harmonia dźwięków, tempa, pasji. Efekt nie będzie idealny bez jednego z tych elementów. A ja mam pewność, że każde z osobna starannie dobrane słowo mejla stanowi o perfekcji moich planów – i że popchnie moje życie w tym lub innym kierunku.

Rozbrzmiewa cichy sygnał, ledwie słyszalny zza bariery słuchawek. Zdejmuję je z głowy i zaraz rozlega się potężny głos

wokalisty Iron Maiden, którym jak co dzień próbuję zagłuszać myśli nieustannie wirujące mi w głowie. Zazwyczaj bezskutecznie. Teraz słyszę hałas ruchu drogowego dobiegający do mnie zza okna. Miesza się z szumem klimatyzacji i brzękiem poluzowanej blaszki w wentylatorze. Rzeczywistość spada na mnie jak koc, gasząc płomienie, odbierając im niezbędny tlen.

Mój wzrok wędruje do powiadomienia, które wyskoczyło w prawym dolnym rogu ekranu. Przed laty udało mi się tak spersonalizować wygląd komunikatów, że mają kształt trójwymiarowych dymków w neonowozielonym kolorze. Dziś to już nie w moim stylu. Ale w ostatnich tygodniach przyszło mi zaangażować wszystkie siły w dopracowanie szczegółów strategii, więc zabrakło czasu na zajęcie się pierdołami. Klikam więc w jadownicę zielony dymek i otwieram powiadomienie. Obiekty 1 i 2 otrzymały, otworzyły, przeczytały wiadomość – przynajmniej o ile algorytm poprawnie zinterpretował dane dotyczące czasu trwania otwarcia wiadomości oraz wyszukiwań w Google w obu komputerach docelowych. Odbiorcy 3 i 4 otrzymali wiadomość, ale jeszcze jej nie otworzyli, natomiast mejl do odbiorcy 5 jest w trakcie wysyłania. Obawiam się, że potrzebuję bardziej precyzyjnego określenia dla odbiorców. „Obiekt” oznacza królika laboratoryjnego, przedmiot testów. Na swój pokręcony, abstrakcyjny sposób ta definicja pasuje do odbiorców, ale nie do końca opisuje los, jaki został im zaplanowany. Za to „cel” brzmi niedorzecznie i żałośnie, a „ofiary” nie zamierzam używać. Słowo „ofiara” implikuje także istnienie oprawcy – geniusza z cygarem w ustach, kotem na kolanach, zmarszczką przecinającą czoło pomiędzy brwiami. Z tym nijak się nie utożsamiam. Bardziej pasuje do mnie określenie „artystyczna dusza”, a pięcioro pozbawionych twarzy odbiorców to moje szkice, których dokończenie na zawsze pozostanie sprawą niepewną.

Sygnal rozbrzmiewa ponownie i ponownie wyskakuje zielony dymek: 5 z 5 wiadomości dostarczone. Zaczęło się.

Przenoszę wzrok na cyfrę. Najlepiej nazwać ich „członkami”. Członkami mojego klubu sześciorga. Mojej Listy Sześciorga.

Odchylam się i krzywię, słysząc, jak skrzypi wymownie oparcie krzesła. Od jakiegoś czasu zaniedbuję mój sprzęt, ale to się wkrótce zmieni. Może mi się poszczęści i moje figurki podążą wyznaczonymi ścieżkami. Wtedy wrócę tutaj, na to krzesło, przed ekran tego komputera. A może wyrwą się spod kontroli i zaczną tworzyć własne zasady. Jakaś część mnie właśnie na to liczy. Że będą dla mnie wyzwaniem. Że mnie zaskoczą.

I że nie pozostawią mi innego wyboru, jak dać im mata.

LUCA

Niedziela, 1 października 2023 roku

Szybkie spojrzenie na zegarek potwierdza, w jak tragicznym jestem położeniu. Od jakichś dwudziestu minut siedzę po turecku na łóżku i wpatruję się w pogrubioną nazwę nadawcy jedynej nieodczytanej wiadomości w mojej skrzynce mejlowej. To nie tak, że nic nie robię. Co trzy minuty muszę poruszać myszką, żeby ekran laptopa nie zgasł. Wiadomość przyszła już wczoraj, ale dotąd nie zdobyłam się na odwagę, by ją otworzyć. Zupełnie jakby znajdowała się w niej bomba, która eksploduje tuż po włączeniu. Czekałam na tego mejla od tygodni i chociaż obiecywałam, że nie będę sobie robić wielkich nadziei, ani trochę nie dotrzymałam słowa. Jeśli wiadomość zawiera odmowę, świat mi się zawali.

Spontanicznie przebiegam palcem po myszy i odnajduję kursor na ekranie, a potem klikam nazwę nadawcy. Otwierając mejla, opieram się pragnieniu zmrużenia oczu, żeby nie zaspoyerować sobie treści. Wiem doskonale, że zachowuję się idiotycznie. Nawet jeśli dostałam akceptację, to jeszcze nic nie

znaczy. Zaledwie tyle, że przeszłam do następnego etapu rekrutacji – a nie że na pewno dostanę tę pracę. Pracę, za którą oddałabym cholernie dużo. Pracę zgodną z moim wykształceniem, wręcz nieprzyzwoicie dobrze płatną i jeszcze odpowiadającą moim zainteresowaniom. Gdybym została social media managerką znanego luksusowego ośrodka narciarskiego, po studiach otworem stanęłoby przede mną o wiele więcej drzwi niż w tym momencie. To, że od lat redaguję uniwersytecką gazetkę i że prowadzę własnego, całkiem rozpoznawalnego bloga, nie zrobi wrażenia na nikim w Nowym Jorku czy w Chicago. Ani w Europie, gdzie chętnie popracowałabym jakiś czas, kiedy już skończę studia.

Biorę jeszcze jeden głęboki wdech, a potem stanowczo otwieram oczy i pospiesznie cofam palec, jakbym się bała, że laptop mnie oparzy.

– „Szanowna panno Murphy” – czytam szeptem, marszcząc czoło i łapiąc z trudem oddech. Wzrok już się spieszy do kolejnych słów – „cieszymy się niezmiernie, że będzie nam dane poznać osobiście panią oraz innych kandydatów podczas sesji assessment center”. – Ostatnią część zdania dosłownie wykrzykuję, cała podniecona. Szybko jednak milknę, słysząc, jak drzwi zamykają się gdzieś na piętrze. Może i mojej współlokatorki chwilowo nie ma, ale ściany pokojów w tym akademiku są cieńsze niż papier.

Zalana emocjami przewijam dalej i czytam resztę wiadomości. Dostałam zaproszenie! Dostałam zaproszenie do ośrodka!

Kiedy kilka tygodni temu otrzymałam propozycję aplikowania do tej pracy, byłam absolutnie zachwycona. Praca dla studentów, a już zwłaszcza dobrze płatna i interesująca, to wybitna rzadkość. To ogłoszenie stanowi część programu motywacyjnego oferowanego przez mój uniwersytet, który co roku znajduje

kilka prac dorywczych dla studentów i pośredniczy w rekrutacji. W zeszłym roku nie ubiegałam się o żadną posadę z listy, ponieważ oferty wcale mnie nie interesowały. Wolałam się ograniczyć do pracy w małych lokalnych firmach. Ale to ogłoszenie zmiało z nóg: jako pracująca zdalnie social media managerka Oritz Grand Resort miałabym dość pieniędzy, by móc sobie opłacić czesne i akademik, a do tego zdobyłabym niezbędne doświadczenie, żeby po studiach ubiegać się o sensowną stałą robotę. Poza tym z okazji następnego etapu rekrutacji zostaliśmy wszyscy zaproszeni do tego wielkiego kompleksu w Kolorado.

W tym samym momencie, gdy klikam „odpowiedz”, drzwi naszego pokoju otwierają się i do środka wpada moja współlokalka obładowana książkami.

– Pomóż – stęka Riley, nie marnując czasu na powitanie. Zaraz potem stosik w jej rękach przekrzywia się niebezpiecznie i pierwsza książka spada. Nie ruszam się ani o milimetr. Choćbym się zerwała na równe nogi, nie zdołam jej pomóc. Kilukrotnie rozbrzmiewa huk i już Riley ma wolne ręce, a jej pełen wyrzutu wzrok wypala mi dziurę w czole.

– No wielkie dzięki, Luca – rzuca chłodno.

Wstaję ze śmiechem i pomagam jej pozbierać książki. To cholernie ciężkie tomiszczą, zbiór naukowych pozycji z biblioteki poświęconych... wojnie chińsko-japońskiej?

– Po co ci to? – pytam, marszcząc czoło, i sięgam po wyglądający na ciężkostrawny wolumin w czerwonej okładce z czarnym tłoczonym tytułem i czarnymi brzegami.

Riley prycha.

– Historia – odpowiada krótko i rozsiada się, aż skrzypi oparcie. – Musimy napisać niby dysertację na dziesięć stron o drugiej wojnie chińsko-japońskiej. Odwołując się do, cytując, „faktycznie istniejących książek”.

Krzywię się.

– Brzmi jak doskonała zabawa.

– Aha. A książek z zalecanej bibliografii nie da się nawet wypożyczyć. Teraz, gdy szuka ich naraz siedemdziesięcioro studentów, żadna już nie jest dostępna, więc musiałam się wpisać na jakąś pieprzoną listę oczekujących.

Omam nie zaczynam się znowu śmiać, ale powstrzymuje mnie zdenerwowana mina Riley. Zamiast tego biorę połowę książek, wstaję i odstawiam stosik na jej łóżko, po czym spoglądam na nią ostrożnie.

– Nie chcę, żeby wyszło, że ignoruję twoje problemy czy coś, ale czy mogłabym na moment zmienić temat? – Gdy macha ręką w geście przyzwolenia, uśmiech sam zjawia mi się na twarzy. – Dostałam zaproszenie na assessment center.

Riley patrzy na mnie niepewnie.

– Co to jest assessment center?

– Ostatni etap rekrutacji! Zaprosili wszystkich pozostałych, wypuszczą nas na arenę i będziemy się tam wybijać, a kto przeżyje, dostanie pracę i tak dalej – wyjaśniam zniecierpliwiona.

– W tym ośrodku narciarskim?

Z przejęciem kiwam głową.

– To ostatni etap! Rozmawiałam z Pascalem z zajęć z literatury, tym, który dostał taką robotę w zeszłym roku. Mówił, że na ostatnim etapie było łącznie tylko sześć czy siedem osób.

– Wątpię, by Pascal z zajęć z literatury zdołał wybić wszystkich rywali na arenie. Poza tym w zeszłym roku ogłoszenie było skierowane tylko do uniwersytetów z okolicy, prawda? Słońce, ten hotel szuka ludzi w całym kraju.

Wracam na moje łóżko i ponownie przebiegam wzrokiem treść mejla.

– Nie napisali, ile osób zaprosili do ostatniego etapu.

– Może jest ich mniej niż w zeszłym roku, skoro zaprosili was do ośrodka? – sugeruje Riley. – Może po jednym uczestniku z każdej uczelni. Kiedy się zaczyna?

– W środę. Czyli muszę wyjechać we wtorek. – Czuję, jak zaczyna mnie ścisnąć w żołądku. Nie umiem uczciwie stwierdzić, czy to przyjemne uczucie, czy wręcz przeciwnie. Jasne, cieszę się z tej okazji, by przetestować moje umiejętności. Ale perspektywa lotu przez pół kraju i konieczności rywalizacji budzi też niepokój. – Nie mam pojęcia, co powinnam spakować. Co się wkłada na taką okoliczność?

– Dobre pytanie. – Przechyliła głowę w zamyśleniu. – Na rozmowę kwalifikacyjną, zwłaszcza u przedsiębiorcy tej klasy cenowej, wybrałabym coś eleganckiego albo przynajmniej klasycznego. Z drugiej strony ubiegasz się o posadę social media menedżerki, więc może coś bardziej... trendy?

Wzdycham.

– Mam wrażenie, że „trendy” to dokładnie to słowo, którego nie powinno się używać, kiedy jest się social media menedżerką.

Riley przewraca oczami, ale nie wygląda na to, by mój komentarz dotknął ją w najmniejszym choćby stopniu. Czasem potwornie jej zazdroszczę wysokiej samooceny. Teraz Riley podchodzi do mojej komódki i wyciąga trzy górne szuflady. Przygląda się krytycznie ich zawartości, po czym wyciąga jakąś bluzkę, którą kupiłam parę lat temu na czyjś ślub cywilny. Początkowo była biała, ale po wypraniu razem z nową czerwoną sukienką stała się wyblakłoróżowa, nieco batikowa.

– Nie – odzywam się, nim Riley zdoła coś powiedzieć. – Lata siedemdziesiąte już minęły.

– Od dawna znowu są w modzie – protestuje energicznie. – I może to właśnie jest idealne połączenie klasyki i... szaleństwa.

Z uśmiechem kręcę głową, po czym wzdycham.

– Po prostu zapytam w odpowiedzi, czy jest jakiś dress code.

Widać wyraźnie, że Riley absolutnie nie zgadza się z moją dezaprobatą dla ohydnej bluzki, ale w końcu odpuszcza i zamiast tego przetrząsa połowę moich ubrań, z których z kolei połowę odkładamy na bok, żeby spakować je do mojej walizki. Moja garderoba pozostawia wiele do życzenia. Wprawdzie mam parę formalnych ubrań, głównie ze ślubów, na które mnie zapraszano, albo z zakończenia szkoły, ale większość z nich znajduje się w mojej szafie w domu rodziców w Belville, jedenaście godzin autem stąd. Albo muszę się udać na kolejne zakupy przed wyjazdem, albo będę się trzymać wiary, że dzinsy i adidasy ujdą w tłoku dzięki moim kompetencjom.

W którymś momencie Riley razem z książkami wraca do swojego biurka, a ja biorę się do odpowiedzi dla EducationCare, czyli agencji pośredniczącej w tej ofercie i pomagającej studentom w znalezieniu pracy. W mejlu proszono o szybką odpowiedź, a ja nie zamierzam ryzykować, że stracę miejsce na rzecz jakiegoś następcy, i to tylko dlatego, że nie zgłosiłam się w mgnieniu oka. Poza tym muszę porozmawiać z panią Greenswill z dziekanatu i poprosić o urlop na czas pobytu w Kolorado. To nie będzie żaden problem, skoro mój uniwersytet zgodził się na ten projekt.

Szukam odpowiednich słów, gdy nagle znowu zaczynam czuć ucisk w brzuchu. To wszystko niesamowicie mnie ekscytuje. Od wczesnych nastoletnich lat marzę o byciu dziennikarką. Moje wyobrażenie o tym zawodzie zmieniało się na przestrzeni lat, ale cel pozostał bez zmian: chcę zbierać wiadomości, pisać, informować. Przy tym wszystko mi jedno, czy moje artykuły będą się ukazywać online, czy w druku, a w mediach społecznościowych można dziś zabłysnąć. Dodajmy do tego nazwę Ortiz Resort i fakt, że pokonałam setki kandydatów z całego kraju... Ta praca byłaby spełnieniem moich marzeń.

Napisałam już „szanowni państwo” i podziękowania za szansę, bym mogła się im przedstawić, a teraz patrzę nieco rozmazanym wzrokiem na mrugający kursor na ekranie. Z jednej strony chcę okazać wdzięczność i podkreślić, że znam wartość tej okazji. Z drugiej nie chcę się zbytnio płaszczyć ani brzmieć na zaskoczoną, że w ogóle mnie wybrano. Jestem zaskoczona, ale ludzie z Ortiz nie muszą o tym wiedzieć. Klikam małą ikonkę WhatsAppa i otwieram czat z mamą. Piszę jej krótką wiadomość, żeby zadzwoniła do mnie, jak tylko znajdzie chwilę. Najchętniej sama od razu wybrałabym jej numer, ale moja mama jest architektką i potrafi przejechać cały kraj na spotkanie z klientem. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, gdzie jest w tej chwili – nawet nie wiem, w jakiej strefie czasowej.

Zaledwie wysyłam wiadomość, komórka zaczyna mi wibrować, a na wyświetlaczu pojawia się fotografia matki. Kiedy opowiadam jej o propozycji, wydaje się tak cieszyć, że zaczyna mówić z podnieceniem, zbyt donośnie, aż muszę na chwilę odsunąć komórkę od ucha. Kocham ją, ale czasem przytłacza mnie jej żywiołowość, a zwłaszcza fakt, że zazwyczaj odgrywa przejęcie. Moja matka to osoba głośna, impulsywna i cholernie pewna siebie. I chociaż trochę jej tego zazdroszczę, tak jak tego, że nie obchodzi jej, co inni o niej myślą, to zazwyczaj cieszę się, że nie odziedziczyłam po niej charakteru. Głównie dlatego, że jej optymizm balansuje na granicy toksycznej pozytywności i zazwyczaj kończy się tym, że ja się denerwuję, a ona nie ma pojęcia, co zrobiła nie tak. To zresztą powód, dla którego po ukończeniu szkoły średniej postanowiłam studiować nie w pobliżu Belville, chociaż Santa Cruz czy Salinas to naprawdę porządne uczelnie. University of Portland Park nigdy nie znajdowało się na liście moich marzeń, ale oferowało dobre kierunki i było dość odległe od domu rodzinnego, żeby mnie tym skusić. Im rzadziej widuję się z rodzicami, tym mniej się kłócimy.

Po rozmowie z matką szybko piszę odpowiedź, próbując przy tym nie rozważać każdego słowa z osobna. Ci ludzie – ktokolwiek wybrał kandydatów do ostatniego etapu – wybrali mnie z racji moich kompetencji i ewidentnie uważają mnie za kogoś, kto się nadaje do tej pracy. Nie zmieniają zdania tylko dlatego, że odpisałam nie dość kreatywnie. Odsuwam więc laptopa, sięgam po kosmetyczkę i idę do wspólnych pryszniców, które – ku mojej uldze – są akurat puste. Jasne, kabiny są oddzielne i dość duże, ale kiedy jestem sama, mogę sobie puścić muzykę. Rozbieram się, odkręcam wodę, żeby się nagrzała, i biorę telefon, żeby wybrać playlistę. Kilka sekund później wpada mi w oko symbol na górze wyświetlacza. Obok ikonki WhatsAppa, Instagrama i przypomnienia, że nie wyrobiłam dziennej normy kroków, pojawiło się coś nowego. Marszczę czoło i kciukiem przeciągam powiadomienia w dół. Nigdy wcześniej nie widziałam tego symbolu. Przypomina rożek z lodami. Nie, raczej mikrofon.





– *What the...* – mamroczę cicho. Ułamek sekundy później ikonka znika. Z irytacją przeglądam powiadomienia w poszukiwaniu tej aplikacji, ale nie znajduję w nich nic osobliwego. Stoję tak przez kilka uderzeń serca, wreszcie otwieram ustawienia i listę ostatnio pobranych aplikacji. Znowu nic. Może to jakieś automatyczne powiadomienie albo przypomnienie o zaktualizowaniu zaniedbanych funkcji. A może to ta śmieszna apka, którą Riley pokazała mi parę tygodni temu i za pomocą której można robić minipodcasty z dnia powszedniego. W sumie nigdy jej właściwie nie używałyśmy i spoczywa gdzieś na stosie martwych aplikacji w trzewiach mojego telefonu.

Wzdycham nieco zrezygnowana, odnajduję pasującą playlistę i zamykam oczy, wciskając twarz pod strumień gorącej wody. Jeszcze dwa dni. Za dwa dni będę siedzieć w samolocie do Kolorado i łapać cholerną okazję mojego życia.

SIĘGNIJ PO WIĘCEJ



**Papierowe
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe_serca